ROK TRZECI.

—

№ 30.

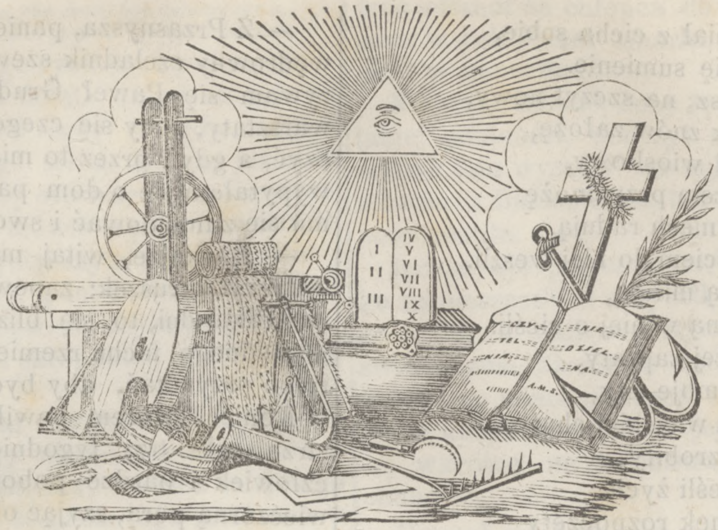
Warszawa

Dnia 13 (25) lipca

1858.

Niedziela

9ta po Świątkach.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Panie! niech uszy miłosierdzia Twego będą gotowe ku wysłuchaniu modłów pokornie błagających Cię; a jako proszącym żądanych rzeczy udzielasz, tak spraw, iżby się tylko dopraszali tego, co Tobie się podoba im udzielić. (Kolekta na Niedzielę dziewiątą po Świątkach).

Poranek rzemieślników.

—

Do pracy, do trudów, wesoło do dzieła!
Żyj nam Boska myśli, coś pracę poczęła!
Pokrzepiaj te dłonie do pracy stworzone,
Osładzaj mozoły, krzep ramię strudzone.
Żyj nam Boska myśli, świeć nad naszą dolą,
Poddaną losowi świętą twoją wolą;
Z poddaniem, weselem, ty przyjmiesz tę pracę,
Gdy liebo tu przyjmą, tam dorównasz płacę.
Przy twojéj pomocy za świetne wawrzyny
Dasz spokój sumienia i życie rodziny,
I żywot osłodzisz, co lekko przeleci
Ludziom na pożytek, pociechę dla dzieci.
Do pracy, do trudów, wesoło do dzieła!
Żyj nam Boska myśli, coś pracę poczęła.

CIEŚLA.

W imię Boskie, w Trójcy Świętej
Witam cię różany świecie,
Szczęść mej pracy rozpoczętej,
Wspierającej cieśli życie.
Przy modlitwie, przy toporze
Już lat tyle witam ciebie...
Dzięki Ci o wielki Boże!
Że mię wspierasz w mej potrzebie.
Kiedy westchnę, pacierz zmówię,
Serce w niebie coś wyszuka;
Co tam znajdzie, nie wysłowię,
Lecz mi raźniej topór huka.
I wnet śmielej, silniej, żwawiej,
Trud ochoczy z pieśnią żyje,
I nadzieja duszę bawi,
I spokojniej serce bije.
Precz ucieka cień zgryzoty,
I trosk dziennych lekkie chmurki,
Czuję w sobie moc ochoty,
Że aż żywiej lecą wiórki.
Cicha wiosko, poświadcz o mnie,
Że te wszystkie chatki twoje
Z mych rąk wyszły, a ja skromnie
Mam ztąd chlubę za swe znoje.
Ty mieścino niedaleka
Znasz ten topor i te dłonie,
I to echo, co ucieka
Z pozdrowieniem na twe błonie.
Wielki Boże! dzięki Tobie
Za to słodkie rozrzewnienie;

Gdym to wspomniał z cicha sobie,
  Uśmiechnęło się sumienie.
Dziś, gdy zechcesz, na szczyt nowy,
  Wonny wianek znów założę,
Znów ucieszę lud wioskowy,
  Bo im chatek tem przymnożę.
Niech się cieszą, niech radują,
  Bodaj z szczęściem do niej weszli,
Niech ojczyście ją miłują,
  I niech wspomną w niej o cieśli.
Dosyć dla mnie tej zapłaty,
  A gdy stéram moje siły,
Spocznę w kątku wiejskiej chaty,
  Którą ręce te zrobiły.
Tak się słodzi cieśli życie,
  W każdy dzionek rozpoczęty
Witam cię różany świcie,
  W Imię Boskie w Trójcy Świętej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Opowiadanie majstra.

Kiedy byłem jeszcze czeladnikiem, przebiegając w mojej wędrówce rozmaite okolice, miałem czas i sposobność przypatrzenia się różnym ludziom, różnym charakterom, i wiele od starych i doświadczonych słyszałem wiadomości. Te czasy i teraz, w wolnych od zatrudnień chwilach, miłe dla mnie budzą wspomnienia, opowiadam o nich moim dzieciom i swojej czeladzi; i dziś dla nauki drugich chcę coś pożytecznego napisać.

W r. 1833, idąc z felejzą na plecach traktem Płockim, dążyłem do miasta Drobina cztery mile od Płocka odległego. Niewielka to mieścina, do tego brudna, przez samych prawie żydów zamieszkana; jeden tylko kościół murowany całą jego ozdobą, a po nim narożny dom Majorka kupca najmożniejszego w całym kachale żydowskim. Szewców było trzech, dosyć biednych, a z nich starszy jeden cechmistrz niejaki Grzegórz Rosiak; do niego też skierowałem moje kroki, a wchodząc we drzwi, temi pozdrowiłem słowy:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, Amen, odpowiedziano.

— A zkądże Pan Bóg prowadzi? zapytał Grzegórz Rosiak.

— Z Przasnysza, panie cechmistrzu; jestem wędrowny czeladnik szewieckiej profesyi, nazywam się Paweł Gruda, zwiedzam różne warsztaty, żeby się czego pożytecznego nauczyć, a gdy i przez to miasto wypadło mi iść, wypytałem się o dom pana cechmistrza, aby mu się zameldować i swoje okazać dowody.

— A witajże, witaj miły bracie! odpowie sędziwy staruszek; zapewne zostaniesz u nas na kilka dni, to się bliżej zapoznasz z nami; my jednego fachu rzemieślnicy, to dosyć się tylko przywitać, aby być jak między swoimi.

Koniec końcem bawiłem u pana cechmistrza całe trzy tygodnie. Poczciwy to był człowiek i bardzo pobożny; prawie zawsze wieczorną porą, szyjąc obuwie przy świeczce dwugroszowej, prześlicznie wyśpiewywał godzinki do N. Panny, a lubo już stateczny, (liczył lat 67), nigdy się nie lenił, zawsze pracowity i pilny w akuratnem dopełnianiu swoich obowiązków. Szanowałem pana cechmistrza jakby własnego ojca, to mnie tylko smuciło, kiedy po ukończeniu roboty zamiast wypoczynku, on nieraz ciężko wzdychał, a często i zapłakał w cichości.

— Co wam to jest panie cechmistrzu, przemówiłem raz do niego, że tak jesteście smutni. Nie widzę u was biedy, choć skromny, lecz wystarczający macie kawałek chleba, należy i za ten dziękować Bogu i z wesołym umysłem jemu służyć.

— O mój bracie! nietylko na niedostatek człowiek płacze... są to jeszcze inne kolce, inne cierpienia, co się głęboko wryły w serce, a które podobno ze śmiercią się dopiero ukończą.

Zasmucony taką odpowiedzią pana cechmistrza, a więcej jeszcze zaciekawiony jego słowami, prosiłem i nalegałem, żeby nie ukrywał przede mną swego zmartwienia i odkrył je w szczerości, to wiele ulży swemu sercu, i nie tracąc czasu, tak przemówiłem do niego:

— Panie cechmistrzu! ja towarzysz jednego rzemiosła, opowiedz, co cię dolega, a może to i dla mnie wędrownego będzie pożyteczne.

— O! nietylko dla ciebie miły bracie, lecz dla wszystkich rzemieślników powinno być nauką, aby się nigdy nad stan swój nie wydzierali; dobre to jest zdanie, które już dawno od jednego majstra słyszałem:

Kiedy jesteś szewcem, nie chciej być burmistrzem,
Lecz pracuj w warsztacie, zostaniesz cechmistrzem.

—A ja to do swego syna stosować muszę— o nieszczęśliwa moja dola!... on już nie żyje od roku. Lecz mój Boże! nigdy a nigdy cierpienie nie zejdzie z mego serca. Dawno już miły bracie, zbierałem się otworzyć ci moje serce. Słuchaj, słuchaj, co mówić będę i powtórz to dla nauki setnym, tysiącznym towarzyszom.

To powiedziawszy, pan cechmistrz usiadł na zydelku, mnie poprosił, abym przy nim zajął miejsce, podparł skłopotaną głowę ręką, i tak dalej ciągnął:

— Będzie temu lat trzydzieści, jak pojąłem w małżeństwo córkę nieboszczyka mego kolegi, Wawrzyńca Baniak, szewca tutejszego miasta. Pierwszym owocem tego małżeństwa był syn Andrzej, któregośmy wraz z żoną bardzo kochali; Jędruś zdawał się być dobrym chłopcem, lecz matka zbytecznie go pieściła.

Często z żoną radziliśmy, jakby Jędrusiem pokierować, bo on był jedynem dziecięciem naszem. Ja mówiłem żonie, na co mu wysokie obiecywać funkcye; Jędruś i tak będzie miał kawałek chleba, skoro po naszej śmierci odziedziczy włókę ziemi, domek i rzemiosło, jakie ojciec jego ma w ręku. Ale żona moja ani słuchać nie chciała o tem.

— Mój Grzesiu kochany! odpowiadała mi, wszakże to widzisz z byle czego na ludzi wychodzą; probójmy losu, może i nasz Jędruś więcej czem będzie jak szewcem. I tak ciągle żona moja nalegała, napierała, żeby Jędrusia na coś tam wielkiego kierować.

Ja to nieraz mówiłem, na co mu wysoko sięgać, niech tylko zostanie dobrym i sprawiedliwym szewcem, to go każdy uszanuje jako poczciwego rzemieślnika. Ale żona zaraz:

— Mężu! mężu! masz ty sumienie, jedno dziecko przy kopycie trzymać? Oto i pan burmistrz potrzebuje chłopca do usługi; nasz Jędruś zwinny chłopiec, niech idzie do niego; pisać i czytać trochę umie, to się reszty w kancellaryi douczy, a może na sekretarza wyjdzie.

—Dobrze, moja Kostusiu! niech wyjdzie nawet na burmistrza, ale ja mam jakieś przeczucie, że to na dobre dla niego nie wypadnie. Lepiej niech się trzyma szydła i dratwy, jak jego ojciec.

Niewiele skutkowały moje perswazye, Jędruś poszedł za chłopca do burmistrza, żona moja w rok potem umarła, a Jędruś jeszcze pisał w kancellaryi.

Nie mogę mówić, żeby Jędruś nie miał jakiej takiej zdolności, douczył się lepiej pisać, a w dwa lata wyszedł na sekretarza przy burmistrzu w Bodzanowie, tak to mu matka przepowiedziała.

Jędruś był przystojnym młodzieńcem, tylko na nieszczęście wstydził się zawsze swojego ojca; a w dwudziestym czwartym roku swego życia ożenił się z jedną szlachcianką, która tam miała jakiegoś znacznego urzędnika w kuzynostwie, i za jej staraniem dostał się wkrótce na burmistrza do miasta Ciechanowa.

Cieszył mnie starego los jedynego dziecięcia, lecz niestety! jakto smutno, jak boleśnie dla serca, kiedy ten biedny ojciec nie miał przystępu ani do syna, ani do synowej; bo on pogardzał ojcem szewcem i znać go wcale nie chciał. Serce ledwie mi nie pękło z bólu; mój Boże! mówiłem do siebie, czy ja tak pogardzony u świata, że na dziecko swoje spojrzeć nie mogę i nacieszyć jego szczęściem? Więcej ci jeszcze powiem: w dwa lata po ożenieniu syna, przez wypadek nieprzewidziany, całe moje domostwo zgorzało. Zaszedłem o kiju do pana burmistrza z Ciechanowa, mojego syna, żeby mnie poratował w tak ciężkiém położeniu. Nie mając śmiałości prosto iść do syna, zameldowałem się starszemu policyantowi z miasta i prosiłem, aby się za mną wstawił. I co myślisz miły bracie, może mnie poratował, lub słowem życzliwem obdarzył? — wcale nie!.. Kazał policyantowi wypędzić swego ojca z miasta, bo jeśli niema paszportu, to go transportem do Drobina odeszle; że on niema żadnego szewca ojca, bo się nie nazywa Rosiak, tylko Rosikoski! Tak jest, nie miałem paszportu; ale ja biedny szewc mógłżem mieć do syna wyraźniejszy paszport nad ten, jaki mu prawo Boskie w czwartem przykazaniu wskazywało: Czcij ojca twego i matkę twoję. Ha! cóż robić, odszedłem zasmucony do domu ze złotówką w kieszeni. Nie mam już syna, on dla mnie nieżyje. Nieszczęśliwa żono! moja, zła myśl wstąpiła do twego serca, kiedyś syna szewca chciała mieć burmistrzem; onby i z tobą tak postąpił, mogłaś mnie słuchać. Ale kiedy ja

nieraz okładałem synalka pocięglem, żeby dobrze zélował buty i mocniej dratwami ściągał, to ty zaraz wołałaś: masz ty litość Jędrusia tak męczyć? Masz teraz Jędrusia! i tybyś tego doznawała.

Niechby tam zresztą było jak chciało, aby tylko był żył mój Jędruś, bo to serce ojcowskie na wszystkie wady i błędy dziecka zawsze jest najpobłażliwsze; ale inaczej chciały wyroki Boskie. Jędruś wdał się niedługo w szulerkę karcianą, dalej w kassie miejskiej zarwał znaczny dług, a w ostatku wziął się do kieliszka. Następnie, ponieważ nie był tak mądrym na burmistrza, jak się mojej Kostusi zdawało, owszem nie znał swego fachu, tylko jego sekretarz Jakób Czajka wszystkie interesa za niego odrabiał, to też raz zjechał przypadkiem Naczelnik Powiatu do Ciechanowa i wszystko w zaniedbaniu zastał, za co go mocno zdyfamował; potem jakieś tam grube zaskarżenia zaszły, tak, że nie wyszło miesiąca, a nasz burmistrz na bruku siedział. Niedługo żona go porzuciła, a on nieborak w tydzień z pijaństwa umarł. Nieszczęśliwy ja ojciec, gdy się o tem dowiedziałem, zaraz pobiegłem do Ciechanowa i za ostatni grosz syna uczciwie pochowałem; wstydził się za życia swego ojca szewca, a nie wiedział, że go do grobu zaprowadzi!.. Onby żył jeszcze, gdyby słuchał rad ojca i pilnował swego rzemiosła.

Taki to smutek trapił pana cechmistrza z Drobina, którego w mojej wędrówce poznałem. Prosiłem i zaklinałem na wszystko, aby nie zatruwał ostatnich chwil swego życia, ale Bogu ofiarował cierpienie; lecz mimo tego rad byłem z tego opowiadania, które dla wielu stanie się nauką, jak mają szanować swój stan.

Po upływie trzech tygodni, z wielkim dla siebie smutkiem, pożegnałem pana cechmistrza, znajdując w tym prostym człowieku poczciwe serce. Żadna z moich wędrówek takiego nie wywarła na mnie wrażenia, ile ta z Drobina, która mi ciągle jest obecną. W rok po opisanem zdarzeniu, przeniosłem się na stałe zamieszkanie do miasta Płocka; niedługo zapoznałem się z córką jednego majstra Wawrzyńca Cieplaka, a po upływie dwóch kwartałów, już Jagusia została moją żoną. Dzięki Bogu! doczekałem się jednego syna i dwóch córek, ale Jagusia nie tak wysoko patrzy. Zawsze jej powtarzam, niechaj nasz syn będzie lepiej dobrym szewcem, niżeli ladajakim burmistrzem; nigdy się nad stan nie wynośmy, bo dobre jest to zdanie, które raz jeszcze powtórzę:

Kiedy jesteś szewcem, nie chciej być burmistrzem,
Lecz pracuj w warsztacie, zostaniesz cechmistrzem.

Przyjmijcie szanowni koledzy te pamiętniki z lat mojej młodości, z takiem sercem, z jakiem one wam dla nauki określam. Wy panowie majstrowie, mając pod dozorem młodzież rzemieślniczą, najskuteczniej możecie zapobiedz wszelkim nadużyciom, jakie wypływają z nieposzanowania swojego stanu.

Kto się nad stan swój wynosi, ten pokazuje, że niewart i tego stanu, w którym obecnie zostaje, a prędzej czy później poczuje palec Boży, u ludzi zaś na poniżenie zasłuży.

Życie Beniamina Franklina.

—

Już po razy kilka w piśmie naszem zamieszczane były wzmianki o Beniaminie Franklinie i podawane niektóre zdania i myśli tego prawdziwego przyjaciela ludzkości, i człowieka rzadkich cnót obywatelskich; dziś nie od rzeczy będzie podać wam w krótkości życie jego, jako przykład, iż każdy z nas pracą, wytrwałością, nauką i życiem przykładnem dobić się może i majątku i poważania pomiędzy ludźmi, że nie koniecznie potrzeba nam się urodzić w pałacach lub dworach pańskich, aby dojść do znaczenia i dostojeństw i stać się użytecznym ludzkości.

Beniamin Franklin urodził się w mieście Bostonie (w Ameryce) r. 1705, gdzie się ojciec jego Jozjasz z profesyi mydlarz przeniósł z Anglii około r. 1682, chroniąc się przed prześladowaniami religijnemi, trapiącemi wtedy jego ojczyznę. Matką zaś jego była druga żona Jozjasza Abiah Folger, córka Piotra Folger, jednego z pierwszych osadników kolonij angielskich w Ameryce.

Był on jednym z 17 dzieci i prawie najmłodszym z rodzeństwa; starsi jego bracia pracowali już jedni w fabrykach, drudzy w warsztatach, kiedy on w ósmym roku życia oddany do szkoły wyższej wziął się zaraz z zapałem do nauki i czynił w niej znakomite postępy, wielkie ztąd na przyszłość rokując

nadzieje; ale po upływie roku ojciec jego liczną obarczony familią, nie mając dostatecznego funduszu na dalsze utrzymanie syna w tym instytucie, widział się zmuszoym odebrać go ztamtąd i ograniczyć się na umieszczenie go w szkółce elementarnej, w której jedynie czytać, pisać i początków arytmetyki uczono.

W dziesiątym roku przywołany do domu do pomocy ojcu w zatrudnieniach przy fabryce mydła i świec, dwa lata w nim przepędził. Jozjasz człowiek doświadczony i rozsądny, widząc jak Beniamin mało do tego zawodu okazywał ochoty, umyślił zbadać bliżej jego skłonności i w tym celu umieścił go naprzód na próbę u jednego ze swych krewnych, z profesyi nożownika, ale że podawane warunki przez owego krewnego nie podobały mu się, odebrał go ztamtąd wkrótce.

Od pierwszej zaraz młodości okazywał Beniamin niepowściągnioną chęć do czytania, i każdy grosz, jaki otrzymał, obracał na książki, kiedy rówiennicy jego kupowali sobie różne przysmaczki lub zabawki. Zamiłowanie to jego w książkach i czytaniu skłoniło wreszcie ojca do przeznaczenia go na drukarza; a że syn jego najstarszy Żames (James) posiadał własną drukarnię w Bostonie, Jozjasz więc oddał doń Beniamina, gdzie miał zostawać do 21 roku życia jako terminator, i przez ostatni tylko rok pobierać zwykłą zapłatę.

Widzimy ztąd, że początek zawodu Franklina nie był usłany różami i nie obiecywał mu bynajmniej tego świetnego stanowiska, jakie sobie w dalszem życiu wywalczył. Umieszczony w drukarni, porobiwszy znajomości z kupczykami i subjektami miejscowych księgarni, miał łatwość dostawania książek i cały zbywający mu czas od obowiązków nad niemi trawił; ztąd w krótkim czasie nauczył się wielu rzeczy i stał się bardzo pomocnym bratu, zwłaszcza, gdy ten w r. 1720 rozpoczął wydawanie gazety, do redakcyi której użył i młodego Beniamina. Wtedy to zaczął nasz młodzieniec próbować po raz pierwszy sił swoich autorskich; kilka jego drobnych utworów zamieszczonych w tej gazecie, zyskało przychylne przyjęcie i natchnęło go większą w siebie ufnością. Tymczasem z powodu jakiegoś nadużycia druku, dalsze wydawnictwo owej gazety zostało Żamesowi wzbronionem; okoliczność ta spowodowała go do poruczenia tegoż wydawnictwa Beniaminowi i zmienienia warunków pierwotnej umowy na daleko dlań korzystniejsze. W skutek tego układu, przez następnych kilka miesięcy pismo rzeczone wychodziło pod imieniem Beniamina; ale gdy zaszły pomiędzy braćmi nieporozumienia, spowodowane gwałtownością Żamesa, Beniamin wtedy opuścił jego zakład i zamierzył udać się do Nowego Jorku, gdzie była najbliższa drukarnia. Jakoż puścił się w drogę i przy pomyślnej żegludze stanął trzeciego dnia na miejscu, o 60 mil od domu, w 17 roku życia i ze szczupłym bardzo funduszem; ale ufność w siebie i nadzieja lepszej przyszłości krzepiła jego siły. Tymczasem na samym wstępie nadzieja ta zawiodła go; nie znalazł bowiem żadnego pomieszczenia w Nowym Jorku, ale nie wahał się długo i puścił się o 20 mil dalej do Filadelfii, gdzie miał widoki łatwiejszego dostania miejsca.

Po kilku dniach przykrej podróży z powodu przeciwnych wiatrów, stanął w Filadelfii zmęczony, osłabiony z ostatnim talarem w kieszeni; pokrzepiwszy umysł swój serdeczną modlitwą w świątyni Pańskiej, puścił się na miasto. Po kilku dniach bezowocnych starań, umieścił się wreszcie w drukarni niejakiego Kejmera, człowieka niemającego żadnego prawie wyobrażenia o tej sztuce. Wprędce uporządkował drukarnię, a wszedłszy w stosunki z ukształconą młodzieżą tego miasta, pozyskał niezadługo jej przyjaźń; następnie zaś swoim rozsądkiem otwartością i prawością, powszechną zjednał sobie życzliwość i szacunek nielicznych jeszcze podówczas jego mieszkańców.

Gubernator prowincyi pan William Keith, słysząc tyle dobrego o młodym Franklinie, zapragnął go poznać, i będąc w Filadelfii, odwiedził go w jego pracowni, a przekonawszy się naocznie o zdolnościach i rozsądku tego młodzieńca, uczynił mu propozycyę założenia porządnej drukarni na własną rękę; gdy zaś Franklin przedstawił mu brak potrzebnych na to funduszów, gubernator wtedy skłonił go do udania się do Anglii już to dla zbadania nowych odkryć i ulepszeń w tej sztuce, już też dla zakupu potrzebnych machin i narzędzi, zobowiązując się wyjednać mu odpowiednie

na ten cel fundusze w kraju macierzystym i opatrzyć go ku temu w listy polecające. Uwiedziony temi pochlebnemi obietnicami, spieniężywszy co posiadał, puścił się Franklin do Anglii, ze szczupłym zasobem, owocem kilkoletniej swej pracy. Ale przybywszy na miejsce, przekonał się z boleścią, iż wszystkie piękne obietnice gubernatora były czczą fanfaronadą. Błogie marzenia młodej jego imaginacyi rozwiały się jak mgła jesienna; rzucony w obcy sobie świat, o kilka set mil od ojczyzny, bez stosunków, bez znajomości, bez dostatecznego funduszu do powrotu do rodzinnego kraju, znalazł się wpośród obcego sobie miasta, jako wśród nieznanej puszczy. Nie stracił wszelako odwagi; widząc niemożność powrotu do kraju, zajął się gorliwie wyszukaniem dla siebie miejsca. Jakoż niebawem znalazł takowe w słynnej drukarni Palmera, w której blisko rok pracował. Zabrawszy tam znajomość z księgarzem Wilkoks (Wilcox), uzyskał za małą opłatą wstęp do jego księgarni, i w godzinach wolnych od pracy czytał rozmaite dzieła naukowe dla rozszerzenia swych wiadomości; obok tego pisał liczne artykuły do gazet treści poważniejszej, przez co wprawiał się do porządkowania własnych myśli i pojęć do łatwiejszego władania piórem. Że na wszystko to starczyło mu czasu, nie będziemy się dziwić, gdy zważymy, że tylko cztery godziny na dobę spoczynkowi poświęcał.

W Londynie miał zręczność zawiązać przyjazne stosunki z wielu uczonymi ludźmi, których rozmowy wlewały nowe światło do jego umysłu; powziąwszy zaś wiadomość o nowych ulepszeniach zaprowadzonych w drukarni Wotta, postarał się w niej umieścić, i pozostawał tam do końca swego pobytu w Anglii, przez co wykształcił się wszechstronnie w tej sztuce.

Czując potrzebę posiadania do przyszłego swego zawodu, jakiegoś kapitaliku, Franklin zaprowadził w wydatkach jak największą oszczędność; pożywienie jego było nadzwyczaj skromne, mięsa wcale nie jadał, i nic nie pijał prócz wody. Tym sposobem po 18to miesięcznym pobycie w drukarni uciułał sobie około 40 funtów szterlingów (1600 złp). Poznawszy się przypadkiem z panem Denham kupcem z Filadelfii, za jego namową powrócił do ojczyzny w charakterze buchaltera jego handlu z płacą roczną 50 funtów szterlingów (2000 złp).

Za przybyciem do Filadelfii, oddał się Franklin z całą gorliwością nowym swoim obowiązkom, uczył się pilnie rachunków, i wkrótce usposobił się w nich należycie. Pan Denham bardzo się do niego przywiązał, i obchodził się z nim prawdziwie poojcowsku; on nawzajem doznawane względy odpłacał najwyższą czcią i uszanowaniem. Ale pomyślność ta niedługo trwała, gdyż w początkach roku 1727 p. Denham po krótkiej chorobie przeniósł się do wieczności — wtedy Franklin nie mogąc znaleść odpowiedniego miejsca w handlu, widział się w konieczności powrócenia do pierwotnego swego zawodu, i przyjąwszy propozycyę dawniejszego swego pryncypała Kejmera, wszedł powtórnie do jego drukarni.

W tej epoce poodnawiał on dawniejsze i powchodził w nowe stosunki z ludźmi znanymi w mieście z nauki i dobrego prowadzenia się; miedzy innymi zaznajomił się z jeneralnym inspektorem prowincyi Izaakiem Deahow. Ciekawą jest historya tego człowieka. Pierwszym jego w dziecinnych latach sposobem do życia, jak sam opowiadał, było nosić glinę strycharzom; w dojrzałym już wieku nauczył się czytać i pisać, potem nosił łańcuch za jeometrą, który nauczył go swojej sztuki, widząc jego ku temu ochotę, nakoniec wytrwałością, przemysłem, pracą przyszedł do znaczenia i majątku. Niechaj historya ta będzie dla nas skazówką, iż nigdy nie jest zapóźno wziąć się do nauki, i że pracą i wytrwałością bardzo wiele można dokonać. Ale wróćmy do Franklina. Otóż ów pan Deahow poznawszy przymioty nowego swego przyjaciela, przepowiadał mu los świetny w przyszłości, i namawiał do założenia na własną rękę drukarni, przyrzekając swą pomoc i opiekę; inni przyjaciele podobnież dawali mu rady i wsparli go nadto pożyczką 100 funtów szterlingów (4000 złp) na kupno prass i przyborów drukarskich.

Franklin ze wszech stron nalegany, nie wahał się dłużej, ale że fundusze, jakie posiadał, nawet wsparte udzieloną mu przez przyjaciół pożyczką, nie były dostateczne, ażeby mógł cały zakład o własnych prowadzić siłach. Przypuścił tedy do współki Mareditha,

pomocnika w drukarni Kejmera i szklarza Tomasza Godfrej. Początki nowej drukarni, jak każde zwykle początki, były dosyć trudne, ale zabiegły Franklin umiał sobie radzić. Przed kilką poprzednio miesiącami, za staraniem jego utworzył się był klub, czyli stowarzyszenie, którego celem było wzajemne kształcenie się. Podług ułożonej przez Franklina ustawy, każdy członek tego klubu, winien był podawać pytania, w przedmiocie jakim moralnym, politycznym, lub naukowym, które poddawane były pod rozbiór całego zgromadzenia, i czytać raz w kwartał dzieło własnego utworu w jakimbądź przedmiocie. Klub ten wpłynął niemało na rozszerzenie w tej prowincyi oświaty, i był wzorem dla sąsiednich prowincyj do utworzenia podobnych; przyczynił się on również niemało do pomyślnego rozwoju nowej drukarni, każdy bowiem z jego członków starał się o robotę dla niej. Franklin będąc naczelnikiem zakładu, dawał z siebie podwładnym przykład niezmordowanej pracy i akuratności, czem zwiększył jeszcze dla siebie powszechną życzliwość i szacunek. Drukarnia jego wykonywając powierzone jej roboty sumiennie i wzorowo, zyskiwała coraz liczniejsze obstalunki, co jej pozwoliło o własnych już ostać się siłach.

Zachęcony tem powodzeniem, wziął się z kolei przy współdziałaniu kilku swoich przyjaciół do wydawania peryodycznego pisma, w rodzaju gazety, w którem niemało było artykułów jego pióra. Pismo to pozyskało wkrótce niezmierne wzięcie, i pomnożyło znakomicie dochody zakładu, tak, iż kiedy wspólnicy Franklina, inne mający dla siebie widoki, zaproponowali mu nabycie ich praw, ten był w możności to uskutecznić, i stał się odtąd jedynym właścicielem drukarni. Ale pomimo, że przyszedł już do niejakiego mienia, nie pomijał jednakowoż żadnego godziwego środka powiększenia swych dochodów. Dawał się w Filadelfii uczuwać brak składu materyałów piśmiennych; Franklin nie omieszkał z tego korzystać, i pierwsze zbywające fundusze obrócił na ten handel. Otworzywszy przy drukarni sprzedaż takowych, dołączył do nich rozmaite druki i wzory na rejestra, kontrakty, umowy i t. p. przez co zrobił dogodność mieszkańcom, a sobie niemałe zapewnił zyski. Tą drogą przy wytrwałej pracy i oszczędności przychodził do coraz większego mienia i wpływu pomiędzy współobywatelami.

Z rozszerzeniem działań, dała mu się coraz więcej uczuwać potrzeba towarzyszki, coby mu była pomocą w zarządzie domu, i osłodą po pracy. Jeszcze przed swoją podróżą do Anglii pokochał on był młodą osobę pannę Read, ale brak funduszów stanął wtedy na przeszkodzie do zawarcia związków. Dziś mając już chleb w ręku, którym mógł się podzielić z towarzyszką życia, nie ociągał się dłużej, objawił rodzicom swe zamiary, a pozyskawszy ich zezwolenie i błogosławieństwo, poprowadził wybraną swoję do ołtarza (w miesiącu wrześniu 1730 r.) Była ona przywiązaną i wierną towarzyszką, a rządnością i rozsądkiem swoim przyłożyła się niemało do pomyślnego obrotu interesów. Nie przyniosła ona wprawdzie mężowi żadnego wiana, ale wniosła prawdziwą pociechę i szczęście w jego progi, co niechaj będzie dla nas nauką, iżbyśmy zawierając podobne związki, mniej się ubiegali za posagiem, jak za moralnemi przymiotami kobiety, którą poślubić mamy.

Do tej epoki odnosi się powzięta przez Franklina myśl założenia za pomocą składek, pierwszej publicznej biblioteki w Filadelfii. Wypracowawszy w tym celu projekt, podał go w roku następnym do akt publicznych notaryusza Brokden (Brockden); myśl ta pomyślnym uwieńczona została skutkiem, 50 osób podpisało się zaraz na składkę po 40 szylingów (80 zł.) na raz jeden i po 10 szyl. (20 zł.) rocznie. Liczba podpisów ciągle wzrastała i zawiązana ztąd współka, przyjęła w r. 1742 nazwę: *Towarzystwa bibliotecznego Filadelfii.* Za tym przykładem utworzyło się wkrótce wiele innych stowarzyszeń, które wszystkie połączyły się wkońcu z towarzystwem bibliotecznem, zwiększając tym sposobem bibliotekę i jego zasoby. Z upływem czasu towarzystwo to do takiej przyszło zamożności, iż wybudowało dla siebie okazały gmach, na froncie którego umieszczony został wspaniały marmurowy posąg Beniamina Franklina, jako założyciela.

Założenie tej Biblioteki, do której za małą bardzo opłatą dozwolony był przystęp każdemu, wywarło zbawienny wpływ na publiczną oświatę. Myśl ta znalazła naśladowców;

pozakładano biblioteki w wielu innych miejscach, a dzisiaj są one bardzo liczne w całych Zjednoczonych Stanach. W roku 1732 zaczął Franklin wydawać Rocznik (Almanach) pod tytułem *Poczciwy Ryszard*, który odznaczał się licznemi, zwięźle wypowiedzianemi maxymami, zachęcającemi do pracy, wstrzemięźliwości i oszczędności. Rocznik ten taki znalazł pokup, iż w jednym roku rozeszło go się 10,000 egzemplarzy; cyfra na owe czasy ogromna, w stosunku do niewielkiej jeszcze ludności, i wątpić nie można, iżby zbawienne w piśmie tem zasady, nie wywarły korzystnego wpływu na wielu czytelników.

Wpływ i popularność Franklina, coraz więcej wzrastały; wkrótce też (w r. 1736) powołany został na Sekretarza ogólnego zgromadzenia w Pensylwanii. Na urzędzie tym potwierdzanym był przez lat kilka, dopóki nie został wybrany na reprezentanta miasta Filadelfii. Na stanowisku tem oddał bardzo wiele usług współ-obywatelom swoim; między innemi, uorganizował straż bezpieczeństwa, zaprowadził w mieście pierwsze towarzystwo ogniowe, i rodzaj komendy pożarnej, na wniosek jego wreszcie utworzone zostały dobrowolne zaciągi do milicyi, przeznaczonej do obrony granic przeciwko napadom dzikich Indjan.

(Dokończenie nastąpi).

Zdania.

1. Ponieważ od Boga pochodzimy, Boga się więc całą duszą i sercem trzymajmy; bo jak strumień od swego źródła, a trawa od swych korzeni odłączone, uschną, tak i my odłączeni od Boga, zginiemy.
2. Nie chwal nikogo w oczy, bo cię wezmą za pochlebcę, a co masz powiedzieć na pochwałę czyją, uczyń to w jego nieobecności.
3. Ludzie podobni są do deszczu, który spadając na ziemię, użyznia ją. Każdy z nas stanowi jednę niby jego kroplę; ale jak pojedyncza kropla deszczu choćby największa, sama ziemi nie odwilży i nie użyzni, tak i pojedyńcze usiłowania ludzkie nic nie dokażą, kiedy złączone stać się mogą na podobieństwo obfitego deszczu potężne i pożyteczne. Pracujmy więc wspólnie i wytrwale, a skutek przewyższy oczekiwania nasze.

Od Redakcyi.

I. Ponieważ posłaniec, upoważniony przez Redakcyę Czytelni Niedzielnej do odbierania expedycyj i przesyłek pieniężnych z Pocztamtu Warszawskiego, zawiódłszy położone w nim zaufanie, przez przetrzymanie u siebie przesyłek i zatajenie odezw, naraził strony interesowane na zwłokę w odbiorze pisma, na które już w roku przeszłym pieniądze przez nie przesłane zostały; Redakcya przeto powziąwszy o tem wiadomość, bezzwłocznie go usunęła, o czem podając do powszechnej wiadomości, uprasza zarazem każdego ze swych Prenumeratorów, któryby doznał jakiej nadal zwłoki w odbiorze jej pisma, lub któryby dotąd takowego nie otrzymał, ażeby raczył o tem Redakcyą piśmiennie zawiadomić, na jej koszt, pod adresem: „Do Redakcyi Czytelni Niedzielnej, ulica Chmielna nr 1527.“

Zawiadamia zarazem, iż dla uniknienia nadal powtórzenia się podobnego nadużycia, od dnia 1 stycznia r. b. odbiór tak pieniędzy prenumeracyjnych, jak i wszelkich expedycyj przyjął na siebie buchalter Redakcyi.

—

II. Obok artykułu pod tytułem: *Życie Stanisława Jachowicza*, umieszczonego w nrze 27 Czytelni, złożono na pomnik dla niego rs. 3.

W drukarni J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 7 (19) lipca 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.